

Aleksander Aleksandrowicz

Pamiętnik

Niepodległość i Pamięć 3/2 (6), 161-174

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Aleksander Aleksandrowicz

(weteran 1918, 1920, zesłaniec, obecnie 96 lat)

Pamiętnik

Szanowni Czytelnicy,

przepraszam Was bardzo, kto będzie czytał moje pismo, znajdzie sporo błędów ortograficznych¹. Proszę się nie dziwić, gdyż nie posiadam żadnej szkoły, jestem samoukiem. Urodziłem się w 1900 roku pod zaborem rosyjskim. Kiedy trzeba było się uczyć, to szkoły nie było. Owszem szkoła była, ale rosyjska, nazywała się *narodnoje ucziliszcze*. Mało kto z Polaków w tej szkole się uczył. Dlatego zostałem samoukiem.

Ale chciałem Wam opisać moje przeżycie. Do osiemnastu lat przebywałem z rodzicami w Suwalszczyźnie na kolonii Pietrewicze, powiat Sejny, częściowo była [to] Litwa. W Pierwszą Wojnę Światową tę miejscowość okupowali Niemcy i rządzą się po swojemu. Trzeba było oddawać kontyngenty. A młodzież musiała chodzić do gminy meldować się w żandarmerii; kto się nie stawiał, był karany. Trwało to do roku 1918. W tymże roku słychać było, że gdzieś dalej w Polsce są Legiony, trzeba ich zobaczyć. Ale jak wypadło uciekać, to i uciekliśmy. W naszej okolicy był taki Legion, który zbiegł z niemieckiego obozu i się ukrywał przed Niemcami. Ale werbował chłopaków do Polskiego Wojska; jak zebrał sporą gromadę, to w nocy nas wyprowadził przez Sejny, Augustów do Łomży. Tam już nie było Niemców, a formowało się Polskie Wojsko: Pierwszy Suwalski Pułk Strzelców. Umieszczono nas w koszarach na trzecim piętrze. Nastąpiła zima. Zimno. Okna, szyby potłuczone, sale duże, piece duże, węgla mało. Wydano nam koce po jednym. Ale słabo to grzało, więc składaliśmy dwa koce i dwóch na jednym sienniku spaliśmy. Na wierzch swoje cywilne ubranie, tak się spało. Na ćwiczenia chodziliśmy we swoim ubraniu.

Jak nas przewieziono, wydano płaszcze i czapki z orzełkiem. Kto miał kiepskie ubranie, dostał mundur, a jak miał kiepskie spodnie, dostał spodnie. Albo jak miał kiepskie buty, dostał buty. Takie było to wojsko. Przegnali nas do Zambrowa, tam było trochę lepiej. Koszary były normalnie i było trochę cieplej. Wyżywienie - na śniadanie chleb i kawa, na obiad jakaś zupa, porcja mięsa na drugie, do niej kasza na gęsto. A na wieczór znów kawa i capstrzyk, zbiórka i śpiew: *Nie rzucim ziemi* albo *Wszystkie nasze dzienne sprawy* i ćwiczenia z bronią. Jak to osiągnęliśmy, to przegnano nas na Ostrów Komorowa. Tak zleciała zima.

¹ Błędów ortograficznych było niewiele, a te, które były, zostały - zgodnie z zasadami edytorskimi - poprawione. Nie ingerowano wszelako w specyficzny styl Autora, ze skłonnością do rymowania i rzadko spotykaną wrażliwością na tragikomizm wielu opisywanych sytuacji [W.Ś.].

Nadeszła wiosna 1919. Już jesteśmy wojskiem. Trzeba iść bliżej frontu. Przyszliśmy do Białegostoku. Tu odbyła się defilada całego Pułku. Defiladę przyjmował generał², nazwiska zapomniałem, tyle lat, trudno wszystko spamiętać. A cały Pułk to 12 kompanii, 2 działa, pluton konnych zwiadowców. Przeszliśmy ulicami przez miasto. Po skończonej defiladzie - odpoczynek. Nastąpiła noc i tu wybuchł pożar, pali się magazyn broni i amunicji, co ją przygotował pan Marchlewski Julian dla bolszewików, którzy mieli z czasem nadejść. Do pożaru nie wolno było podejść, bo trzaskało, wszystko się spaliło. A Marchlewski nawiał tej nocy na bolszewicką stronę, bo był komunistą, choć Polak.

Parę dni pobiliśmy w Białymstoku, trzeba iść dalej ku frontowi. I się posuwaliśmy do Wołkowyska, Różana Zelwa, Skidel, Szczucin. Nastąpiła wiosna, kwiecień. Na początku Tygodnia zdobyliśmy Lidę. Trochę żeśmy poturbowali bolszewików, trochę się poddało do niewoli, reszta uciekła. Zabrali ze sobą kolejarzy i wagony; musieliśmy parę dni czekać, zanim kolejarze zwieźli wagony porozrucane po całej trasie. Jak zebrali cały zestaw, załadowano nas, i - jazda do Wilna. Dojechaliśmy w Wielką Sobotę. Nie dojeżdżając do Wilna wyładowano nas w polu i - bagnet na broń! - marsz do Wilna. Przyszliśmy do miasta - bolszewików nic nie było. Jakaś kawaleria ich pognała dalej. Był 19 kwiecień, w tym dniu była Wielkanoc.

Święta mieliśmy w Wilnie. Biedne były te święta, ludzie biedni, bolszewiki ich obzary. Ale duchem byli bogaci. Bolszewicy zostawili trochę broni, karabinów, amunicji. Młodzież garnęła się do wojska. Rozdawano broń i włączano w nasze szeregi. Szli z nami dalej bić wroga. Dwa dni byliśmy w Wilnie, potem poszliśmy dalej: Oszmiana, Wilejka, Smorgonie, Święciany, Lontwarowo, Grodno, Baranowicze, Słonim, Nowogródek, Nieśwież, Wołożyn, Lebidiewo, Gródek, Olechnowicze - ta miejscowość pamiętna, bo tu zostałem ranny w nogę. Stąd pojechałem do szpitala aż do Krakowa. Tam mnie długo kurowano. Jak już byłem zdrowy, to mnie odesłano do Suwałk, do Kadr. Tam mnie zastała zima i dostałem zapalenia oczu. Odesłano do szpitala ocznego w Grodnie. Tam też byłem parę miesięcy. Zleciała zima. Jak mnie wykurowano, to na front mnie wysłano, na trzy dni prowiant wydano. A że droga z Grodna do Kijowa daleka, ledwo mi prowiantu starczyło. Zajechałem, dowództwo znalazłem i się zameldowałem. Skierowano mnie do kompanii sztabowej jako rekonwalescenta. Kompania stała za Dnieprem, miejscowość Słobutka. Był już czerwiec 1920 roku. Lato zleciało, potem ni stąd ni zowąd zaczęło się odstępowanie. Podobno bolszewiki na Kaukazie rozbili generała Kołczaka i tamte siły dali na nasz front. Ale na nas nie uderzyli, tylko na ukraińskiego wodza Petlurę, rozgromili Ukraińców i zachodzili nam od tyłu. Trzeba odstępować. I zaczął się odwrót. Nie mogliśmy się nigdzie zatrzymać, bo bolszewiki nas poganiali. Przyszliśmy aż pod Warszawę. A bolszewiki za nami. Powstał wielki strach. Zrobiono mobilizację, zebrano więcej wojska i wyznaczono kontrnatarcie na 15 sierpnia. I stał się nad Wisłą cud. Wypędziliśmy ich stąd, całą armię żeśmy rozbili i z powrotem ich pędzili, byśmy ich do Moskwy zagnali. Ale już gnać nam zakazali.

Utworzyła się Ententa Mała z lordem Cursonem i granicę nam wytyczała. Ta granica linią Cursona się zwała, po Bugu była wytyczona. Ale my byliśmy daleko za Bugiem, trzeba

2 Dopisek: Żeligowski.

by się wracać. Piłsudski się nie zgodził, musiało to być, co oswobodził. Bolszewiki się bali, żebyśmy im Moskwy nie zabrali. I pokój podpisali. Wielka radość była, bo się wojna skończyła. A po wojnie - osadnictwo powstało. Na Kresach dużo dworów szlachty polskiej było, rząd te dwory przejął i rozdawał dla byłych żołnierzy-ochotników.

Ja też dostałem 12 hektary ziemi w Nowogródzczyźnie. Ziemię już mam, na ziemi nie ma ani różeczki³. Zrobiłem się bogaty jak święty turecki. Musiałem sobie pomarzyć, jakby tę ziemię zagospodarzyć. Doszedłem do takiego wniosku, że trzeba iść do wioski, tam ziemi mało mają. Kilku chłopów się zebralo, każdemu po kawałku dałem. Chłopi zaorali, zasiali, zebrali, a z tego dla mnie - połowę zbiorów. Trzeba chwalić niebo - jest już swego kawał chleba. Minęło lato, nadeszła zima. Gdzie mieszkać? Chałupy nie ma... Znów wybieram się do wioski, by załatwić swoje troski. Musiałem pomyśleć, jak to życie zmienić. Trzeba się żenić. Zrobiłem do wsi wycieczkę, żeby sobie znaleźć żoneczkę. Znalazła się jedna dziewczyna śmiała i zapytała się: czego ja szukam w jej wiosce? Powiedziałem, że chcę znaleźć sobie żoneczkę. Trochę pomyślała i tak mi powiada: "Jak by pan chciał, to ja nią będę". Chwała Ci, Panie, skończyło się szukanie. Tak żeśmy się poznali. A potem żeśmy się pobrali. Żona bogata nie była, jedną krowę miała, do tego tysiąc złotych. Krowa nam mleko dawała. A za pieniądze chatkę żeśmy kupili. Chatkę, krówkę już mamy i tak sobie żyjemy. Jeszcze będzie niedostatek przez parę lat. Jak się wszystko sprawi, to się życie nam poprawi. Siedemnaście lat pracowaliśmy, pokąd się wszystko zdobyło. Niedługo trwała ta sielanka. W 1939 roku wybuchła wojna, mnie do wojska powołano, żona z dziećmi została sama. Gdy sowieci granicę przestąpiły, to Białorusy nas ograbiły. Wszystko nam zabrali, kto był w domu, tego aresztowano i do więzienia zagnano.

Ze mną inaczej się stało. Sowieckie wojsko do niewoli mnie zabrało. W niewoli miesiąc przebywałem, potem mnie do domu puścili. Wróciłem do domu, a tam już nic nie ma. Wszystko sowieckie wojska i Białorusy zabrali. Nie wiem, skąd ta nienawiść się wzięła, dawniej tak nie było, wszyscy razem żyli: Białorusy, Polacy, pobierali się nie rzadko, kumali się, jeden drugiego do siebie zapraszał. Raptem się zmieniło. A za Polski chyba tym ludziom nie było źle: mieli takie same prawa jak Polacy, swoich posłów w Sejmie, swoje szkoły, cerkwie, swoich księży. Nawet księża zapraszali się nawzajem w gościnę. I tu nagle wszystko się odmieniło, bo sowiecka propaganda głosiła, że wszyscy są równi i to im się podobało. Nie wiedzieli, jak wygląda ta równość. Niektórzy się nie kwapili do tej równości, to zostali potraktowani jak Polacy-osadnicy, aresztowani i wywiezieni do ZSSRu na białe niedźwiedzie.

Zaczęło się 10 lutego 1940 roku. Była noc, wszyscy spali, wojsko sowieckie przyjechało, przyprowadzili ze sobą furmanki: na każdą rodzinę jedna furmanka i dwóch żołnierzy. Pukają w okno. Przebudziłem się, chciałem zobaczyć, kto puka. Pytam: *кто to?* Odpowiedź: *wojenny, atkroj*. Zaświeciłem lampę, idę otwierać. Myślałem, że może chce się ogrzać albo zapytać o drogę, dokąd prowadzi, bo mieszkałem przy drodze. Otwieram drzwi, widzę dwóch żołnierzy z karabinami, na karabinach bagnety. Wchodzą do mieszkania, pytają: *ty chaziain?* - *Ja*. - *Sadisia*. Usiadłem na taborecie. Usłyszałem: *nie trój się z miejsca, ty are-*

3 Oryg: rużeczki.

sztawan. *Pytam się: za co? nikogo nie zabiłem nie podpaliłem, za co mnie aresztujecie? - Młoczy, nie mów. - I stoi przy mnie z karabinem, nie pozwala się ruszyć. A drugi mówi do żony, bo jeszcze w łóżku z dziećmi [leżała]: Ty, choziajka, podnimajsja, odiewajsja, odiewaj riebiat (dzieci), pojedziem. Żona pyta: Dokąd pojedziem? - W Rossieju. - Co tam będziemy robić? - Dadut wam ziemi, budzicie rabotać i tam żyć. Poskoriej sabiratsja, 40 m[inut] czasu. Żona wstała, zaczęła ubierać się. Nie wie co brać. Każą brać odzież, pościel, na trzy dni prowiantu. Niewiele było do brania, bo cywile nas ograbili. Było trochę mąki i kaszy, trochę odzieży i pościeli, którą nam gorszą oddali. Żona to zabrała, związała i wychodzimy z domu. Stała w sieni siekiera i piła, zabralim i to na sanie, bo się w drodze przyda. Miałem dobrego pieska, był przywiązany przy budzie, puściłem go wolno, żeby sobie poszukał jakiegoś jedzenia. Biedne psisko biegło za nami 40 kilometrów do stacji kolejowej. Żal mi było, ale co miałem mu dać, jak sami mało mieliśmy tego prowiantu?*

Tej nocy dojechaliśmy do wsi Boracin. Wieś stoi z boku od drogi jakieś dwieście metrów i tu zdarzenie: kobieta, którą zabrali, zaczyna rodzić dziecko na drodze, wzywa pomocy, a tu mróz, zima. Żołnierz, który konwojował tę furmankę, pobiegł do przodu, bo tam gdzie komandir i melduje: *Towariszcz komandir, ženszczina rodit rebionka, na drodze zamaznie*. Odpowiedź: *пуст' подыхает*. Ale żołnierz był ludzki, wyłączył furmankę z szeregu i kazał furmanowi jechać do wioski. I pojechał. Tam znalazła się pomoc i porodziła. I już nie była w ZSSRze. A my pojechali dalej.

Na wieczór dojechalim do Nowogródka. Miasto wojewódzkie, na ulicach światła, ludzie chodzą, patrzą, co to za obóz jedzie, ludzie na furmankach cywilni, a wojsko prowadzi. Chcą coś dowiedzieć się. Nie wolno podchodzić ani rozmawiać. Idą dwie kobiety chodnikiem. Mówię do nich: *Proszę panią, proszę powiadomić taką na ulicy takiej, nr 25, że w tym obozie jedzie siostra z rodziną*. Kobiety powiadomiły. Siostra żony chciała nas odwiedzić, zobaczyć, ale wojsko nie dopuściło. Poszła do komandira, uprosiła *propusk*, dopiero z tym propuskiem przyszła. Zobaczyła, że słabo jesteśmy zaopatrzeni w odzież, a także w żywność. Przyniosła, co miała. Po przenocowaniu w Nowogródku jechaliśmy do stacji kolejowej Nowojelna jeszcze 22 kilometry. Jedziemy cały dzień. Na wieczór dojechaliśmy. Stał cały zestaw wagonów bydłowych. Zaczęto nas ładować do tych wagonów. A tu zimno. Ładują po trzy rodziny do wagonu. W wagonach są prycze i piecyki żelazne. Ale nie ma czym palić. Niedaleko tego składu stoją metry papierówki. Żołnierz każe iść po to drzewo. Poszedłem, biorę klocki. A tam stoi stróż i krzyczy, że nie wolno brać. Ale jeden klocek wziąłem. Przyniosłem. Żołnierz każe iść nanosić więcej. Mówię, że tam stróż nie pozwala brać. Żołnierz podszedł i mówi: *ty nie ary (ty nie krzycz)*. Ja biorę. A on krzyczy. Mówię: *czego się drzesz? Żołnierz kazał brać*. Stróż mówi: *moje dzieło krzyczeć, a twoje dzieło brać*. Nanosiłem tego drzewa. Piła i siekiera się przydała. Napiliśmy, narabaliśmy tego drzewa. Napaliliśmy w piecu, żołnierze weszli do środka, drzwi zamknęli, zrobiło się ciepło.

Przyjechała lokomotywa, przyczepiono wagony, jazda dalej. Za całą noc dojechaliśmy do stacji Baranowicze. Tu przeładunek do takich samych wagonów, tylko o szerszym torze. Przeładowaliśmy się pod eskortą. Ci sami żołnierze nas eskortowali, co z miejsca nas brali. W naszym wagonie ci żołnierze nie najgorsi byli. Jak się skończył opał, to kazali brać wiadra i razem jeden z nich szedł z nami do lokomotywy po węgiel i po *kipiatok* czyli wrzątek,

żeby coś ugotować do jedzenia. Jak skończył [się] prowiant, to dawano zupę. Na stacji znów trzeba iść z wiadrami po tę zupę. Ale zupa była taka: jak się zjadło tej zupy, to były wymioty albo sraczka. Tak nas karmiono i wieziono coraz dalej w Rosieju i tak trwało cały miesiąc. Czasami stawał pociąg w polu, wtedy otwierali wagony i: *Wychadi na aprawku!* Każdy wychodził, kucał naprzeciw swojego wagonu i robił, co trzeba. Bo w wagonie były dziury w przeciwnych drzwiach i powprawiane korytka. Ale wszystko pozamarzało od tej sraczki. Do 10 marca dojechaliśmy do stacji Wielsk, dalej torów nie było - koniec świata.

Wyładowano nas na poczekalni wszystkich na kupę i tu czekaliśmy na samochody. Po dwóch dniach przyjechały i brały, ile weszło do skrzyni samochodowej. Zdrowych ludzi wieziono dalej, po starych i dzieci przyjechały samochody kryte brezentem. Też brały, ile się dało wepchnąć. Dowieźli dalej do Rowdzina. Obracali po dwa razy. Ta podróż trwała dwa dni. A bagaż się pozostał na stacji. Gdy zabierano ostatnią turę, to ludzie prosili mnie, żeby się zostać przy bagażu i dowieźć do miejsca, gdzie będą ludzie przewiezieni. I zostałem się.

Na drugi dzień przyjechał ciągnik na gąsienicach z takimi dużymi saniami zrobionymi z całych sosen, tylko obciosanych na dwa boki i końce tych sań podcięte, żeby nie garnęły śniegu. A na saniach zrobiona klatka z żerdzi. Władowano wszystek bagaż. Kierowca podczepia ciągnik do sań przywiązuje łańcuchem sanie do ciągnika. Patrzę i mówię, że tak daleko nie zajedzie. Mówi: *czto ty znajesz!* - *No to jedź.* Ruszył, jedzie. Ale trzeba skrócić na drugą drogę. Szarpie to w tę stronę, to w drugą. Ani rusz nie może skrócić. Mówię: *A co, nie mówilem, że tak daleko nie pojedziesz?* - *Da, prawilno* (prawda). Pytam, czy ma więcej łańcuchów, to jest *cepi*. Mówi, że ma. - *Dawaj.* - Dostaje ze skrzyni zmarznięte, aż się lepia do rąk. Dał mi rękawice. Przywiązałem po swojemu. - *Pojezzaj!* - Jedziemy. Skręca w lewo, w prawo. I mówi: *ty umny muzyk, ty żyć u nas budiesz.*

Jedziemy cały dzień, nigdzie wioski ani chałupy. Step. Robi się wieczór, zaczyna szarzyć. Odczepił ciągnik i pojechał. A mnie zostawił na środku drogi w szczerym polu. A tu mróz. Co dalej? W Rosiei to większy mróz. Dobrze, że w tym bagażu były poduszki, kołdry, to się owinąłem i tak noc przeżyłem. Ale głodny jak wilk leśny. Na jutro przysłał cztery samochody ciężarowe, przełożyliśmy na nie bagaż. Samochody pełne. Jedziemy. Trzy samochody puściłem naprzód, na czwarty siadłem na wierzchu, żeby widzieć te przednie. Jedziemy cały dzień, nigdzie wioski ani chałupy. Robi się wieczór. Dojechaliśmy do jakiegoś lasu. Kierowca stanął. Pytam, czego nie jedzie. Mówi, że po ciemku nie pojedzie; światła nie ma, akumulatory wysiadły. Mówię: *to zamarzniemy na kość.* Powiada, że *wsio rawno, czy dziś czy jutro nado pagibać* (umierać). Ja mówię, że jeszcze nie chcę umierać. - *A co będziesz robił?* Mówię: *idź do lasu, utam pięć pątek, przynieś.* Posłuchał. Ułamał, przyniósł. Patrzy, co będę robił. Znalazłem w tym bagażu kołdrę z pakuły lnianej i naskubałem tej pakuły, nawinałem na te kije, zrobiłem takie pochodnie. Mówię: *włóż do paliwa, niech się namoczą.* Za parę minut dostał. - *Zapalaj.* - Zapalił. Zrobiło się widno. Siadam na masce samochodu i świecę. Mówię: *jedź, tylko nie szybko.* I tak zapalam jedną od drugiej i znów moczmy i jedziemy całą noc. Na ranku dojechaliśmy do wioski.

Tamte trzy samochody czekały na nas. Trochę żeśmy odsapnęli, *kipiatku* popili z solą, bo cukru od dawna nikt nie widział. Pojechaliśmy dalej. Jeszcze cały dzień jechaliśmy. Na

wieczór dotarliśmy do miejsca, gdzie ludzie byli i czekali swego bagażu. Porozbierali każdy swój bagaż. Opowiedziałem, jaką miałem przygodę. Może ktoś będzie miał do mnie pretensje z powodu tej kołdry? Powiedzieli: dobrze, że przyjechałem i przywiozłem wszystko. To była miejscowość Rowdina. Z tego miejsca rozwożono furmankami. Przyjeżdżały sanie zaprężone w konie. Brali ludzi, ile kto potrzebował robotników, i wieźli do sowchozu, do kołchozu (sowchoz to taki PGR). Jak rozebrali, komu ile potrzeba, to reszta pozostała.

Po tę resztę przyjechały też furmanki, ale już z innego przedsiębiorstwa, z Lesopromchoza, to jest z gospodarstwa leśnego. W tej grupie znalazłem się ja ze swoją rodziną. Przywieziono nas do lasu, do tajgi *Siewiernoj, posiołok Rosochy, Szenkurski rejon, Archangielska obłaść*. To było w głębi lasu. Do tego rejonu to było 40 kilometrów, do obłasci - 400. Były i inne posiołki: Uksora, Szagowary, Bierieznik, Kotłas. Wszędzie byli Polacy. Ale byli i Rosjanie, którzy nie chcieli wstąpić do kołchozu, to ich wywożono do lasu. Musieli sobie budować domy, bo w lesie nic nie było. Nabudowali na zapas, że i dla nas starczyło. Rozmieścili nas w tych pustych barakach po dwie rodziny. Izby były obszerne, wyrka - jakie takie, piece też. Te baraki budowano z grubych kłoców, bo zima tam sroga. Mrozy dochodziły do 55 stopni. A zima trwała osiem miesięcy, reszta *wsio leto*. W tym *posiołku* była *bania* czyli łaźnia, bo kiedyś mieszkano tam sporo ludzi. A i teraz było nie mało. Samych Polaków - 112 rodzin. A jeszcze kilkanaście rodzin - tych Rosjan, którzy byli już gospodarzami. Mieli kilkanaście koni, które woziły drzewo z lasu nad rzeką, która nazywała się Szanga. Te konie dowoziły do piekarni mąkę, którą łatwiej dowieźć niż chleb. Tydzień dali nam odpoczynku. Zaraz kąpiel w *bani* wyparzenie odzieży i bielizny. Bo w tej długiej podróży to za kołnierzem pojawiły się insekty.

Gdy się to wszystko zrobiło, do roboty w lesie ścinać drzewa potworzono brygady. Jedni ścinali, drudzy wozili drzewo nad rzekę do spławu. A że mrozy były wielkie, wydali niektórym *walonki, waciaki-kufajki, spodnie watowane i... robotaj za Rodinu za Stalina*. Ja dostałem cały ekwipunek od nóg do głowy. Dali mi siekiere, piłę ramową. Zrobili mnie *rubszczi-kiem*, dali dwóch do pomocy, żeby śnieg obdeptali wokół drzewa. W tej brygadzie pracowałem tydzień.

Zobaczył *mastier lesa*, że mi robota idzie, powiada: *czto tobie ta rabota, ty zdorowy muzyk, pojdiosz na nawatku ładować dłużyce na wozy*. Tymi wozami dowożono do rzeki drzewo. A było już daleko za osiem kilometrów z lasu do rzeki. Wozy były uszykowane na dłużyce, wozy duże, tak jak u nas, co wożą samochody albo ciągniki. Na taki wóz ładowano dziesięć albo dwanaście kubicznych metrów. I jeden koń ciągnął. Ale droga była wytrasowana tak jak pod kolejkę, tylko drewniana, nasyp równy, podkłady jak na kolei, tylko szyny drewniane z żerdzi struganych, żeby były równe jak w jednym końcu tak w drugim, poprzybijane kołkami do podkładów. A wozy - koła żelazne, jak u samochodów, tylko ogumienie zdjąć. I tak ładowało się na taki wóz dziesięć do dwunastu kubików drzewa dłużyzny. Naładować na wóz norma dzienna: czterdzieści dwa kubiki we dwóch. Bez żadnej techniki, tylko drażek i *pleczo* (ramię). Przepracowałem całą zimę. Przyszła wiosna - spław drzewa. Dano mi bosak i postawiono nad rzeką, żeby pilnować, by nie zaczepiło się drzewo o brzeg, bo zaraz urośnie góra; bo tam nie wiążą drzewa w tratwy, tak wałą, pojedynczo. Trzeba pilnować, żeby nie zrobił się zator.

Chodzę, pilnuję, odcinek mam sto metrów, trzeba biegać to w tę, to z powrotem. Tam się zaczepiło, robi się zator, trzeba rozpychać. Włazłem na tę górkę, rozpycham. Trochę zwolniłem tego drzewa, reszta się mi rozplynęła spod nóg. A ja wpadłem do wody. Woda zimna, ledwo się wygramoliłem na brzeg, cały mokry. Trzeba się przebrać. A tu kawałek od mieszkania. Zanim doszedłem, to na mnie ubranie zlodowaciało się. Już do tej pracy nie stawiano mnie, a miejscowych. Ci tak wyćwiczeni, że na jednym drzewie potrafią się utrzymać. A gdy będzie daleko od brzegu, to czeka sposobności, jak podplynie kilka drzew obok siebie, to skacze z jednego na drugie, i tak wyskoczy na brzeg.

Splaw się skończył, teraz dano mnie na *zwałkę*: drzewa z wozów nad rzeką układać w *sztable*. Niby lżejsza praca, ale większa norma, bo siedemdziesiąt dwa kubiki trzeba zwalić we dwóch. Jak wyrobisz normę, to dostaniesz 60 dkg chleba, jak wyrobisz mniej, dostaniesz mniej. Więc tu jest *diesiatnik*, który oblicza te kubometry. Czasami uda się go oszukać. Cały dzień bywa przy nas. Jak nadchodzi wieczór, robi się ciemno, to zaznaczy na sztuce kredką, zrobi znak i pójdzie do domu. A nam kaze czekać, bo czasami jakiś wóz nie zdąży przyjechać na czas, przyjedzie później, trzeba go rozładować. Ale jak tego wozu nie było, to bierzemy te sztuki zaznaczoną z warstwy, cofamy o kilkanaście sztuk. Na jutro diesiatnik przychodzi i patrzy, że zaznaczona sztuka leży w tyle, a na przedzie leży kilkanaście sztuk. Pyta: czyj był wóz?, bo też wozaków znał. Mówimy nazwiska, zapisuje. I tak nam norma przybywa i wozakowi.

A wozakami były kobiety z naszych ludzi. Poprzednio byli wozakami mężczyźni i to Rosjanie. Ale jak wezwano do wojska, zastąpiły ich kobiety. Naładujesz wóz, kobieta bierze lejce i - wio! mówi. No a koń stoi, nie rusza z miejsca, bo przyzwyczajony do męskiego głosu. To brygadzysta, który dozoruje, powiada: *Diewuszka, porugajśia na niego, to jest na konia. Pyta kobieta: Jak się ruga na konia? - No, wio, jop twoju mat'!* Jak kobieta wymówiła te słowa, koń ruszył⁴.

Przepracowałem przez lato na tej *zwałce*. Nadchodzi zima. Był tu rymarz, który reperował uprzęż, ale powołano go do wojska. Jakiś czas obyło się bez niego, ale uprzęż się porwała, nie było w co konia ubrać. Pytają, czy może kto z Polaków jest rymarzem. Nikt się nie zgłasza. Myślę sobie, że trzeba się zgłosić: praca nie ciężka, do tego w mieszkaniu, w cieple. Zgłosiłem, że jestem rymarzem. Ale nic w tym fachu nie umiem. Każą iść do rymarni. Przychodzę. Tam siedzi koniuch, co dogląda koni i wydaje uprzęż. Pyta: *ty będziesz ra-*

4 Analogiczną scenkę znajdujemy we wspomnieniach kresowych księdza Józefa Anczarskiego, który barwnie opisał jak to młody żołnierz sowiecki usiłował opróżnić wyciągniętą z szafy w biurze parafialnym ostatnią flaszkę wina mszalnego:

"Byłem bezradny. Gdyby nie miał automatu i granatów, może nawet odważyłbym się odbierać przy użyciu siły. Ale tak? Nie wiedziałem co robić? Nagle, naprawdę nie wiem, skąd mi to przyszło, po dzień dzisiejszy jestem przekonany, że to było jakieś natchnienie od Boga, huknąłem z całej siły nad jego głową. Huknąłem w najdoskonalszym stylu radzieckim:

- Ty sukinsynu, zostaw to *blad' proklataja* (słyszałem przed półgodziną, jak przeklinali krowę) *ty swołocz, ty skurwysynu, dawaj*. Grzmiałem nad jego uchem, jak tylko mogłem głośno, stał przez chwilę i patrzył na mnie, potem postawił tokaj na biurku i odszedł.

O, dzięki Ci, Boże, za to natchnienie. Ja nigdy w życiu moim nie kląłem, to był pierwszy raz i w takiej sytuacji. Ja mu naprawdę nie życzyłem złego. Najważniejsze, że mieliśmy wino mszalne. Będą nabożeństwa w Wielkim Tygodniu, będą na Wielkanoc. Jest przecież wino." (Maszynopis pamiętnika nadesłanego na konkurs *Kresy pod okupacjami*, w zbiorach Archiwum Wschodniego, s. 282-283...). Niestety, mimo przyznanej nagrody dotąd nie ukazał się drukiem.

botać? - *Ja*. - Leży kupa chomątów, wszystko porwane. Aż strach, jak zacząć tę robotę. Mówię do koniucha: *czort znajet z jakiego końca zacząć*. Mówi: *weż jeden chomąt rozbierz i tak rób*. Mówię, że u nas też jeździ się w chomątach, ale musi być dopasowane do szyi konia, żeby nie było za małe albo za wielkie. On powiada, że u nich to tak się robi, aby koń z kolanami nie przelazł przez chomąto, wtedy będzie dobrze. Rozebrałem stare chomąto, zobaczyłem i tak robię. Przepracowałem całą zimę w cieple, zarobiłem więcej niż w lesie. Na wiosnę powrócił rymarz, bez jednego oka, inwalida. Musiałem oddać stódek i iść do lasu.

Ale niedługo - znowu mobilizacja. Zabrano do wojska piekarza, bo była na miejscu piekarnia. Znów okazja. Pytają: *może ktoś z Polaków jest piekarzem?* Nikt się nie zgłasza. Zgłosiłem się, że jestem piekarzem. Ale nic nie umiem, tylko widziałem, jak żona piekła chleb. Wołają mnie do piekarni, pytają jak się u nas piecze chleb. Opowiadam, że robi się rozczyn, jak się trochę ukwasi, to dodaje się mąki i się miesi, aż się zrobi gęste ciasto. Piec się napala, wygarnia się węgle, popiół, robi się bochenki i do pieca się wsadza na długiej łopacie. Mówią: *dobrze, u was jest dużo (mnogo) mąki, to tak można. U nas nada ekonomicznie*. Mówię, że ekonomicznie nie potrafię, bo tego nie robiłem. Pytają, czy będę pracował. - Będę, bo mi na tym zależy, jako że pracując w piekarni można zjeść kawałek chleba, a swój *pajok* oddać dla rodziny, bo dzieci i żona dostają tylko po trzydzieści deko. No i zostałem w piekarni. Poprosiłem, żeby wziąć swoją żonę do pomocy. Zaczęliśmy piec chleb. Ale nie było to ekonomicznie, bo u nich, jak zużyjesz sto kilo mąki, to trzeba dać sto pięćdziesiąt osiem kilo chleba. Nam tak nie wychodziło. Dali instruktora, żeby mnie nauczył. Przyjechał stary dziadek jako piekarz. Jak mi opowiedział o sobie, to kiedyś cukiernikiem miał własną cukiernię. Jak nastąpiła sowiecka władza, to cukiernię upaństwowili, a on był robotnikiem. Gdy się zestarzał, dano mu kilka rubli emerytury, zrobili instruktorem, jeździł po *posiołkach* i kontrolował, jak tam się robi w koło chleba. Przez miesiąc ze mną pobyl, nauczył ekonomiki, zostałem piekarzem.

Żona odeszła, bo nie mogła w takim cieple pracować. Wziąłem młodą dziewczynę z naszych ludzi. Była sprzątaczką i pomagała mi przy chlebie, bo to już ekonomicznie trzeba formy smarować olejem, ciasto wkładać do form, potem te formy podawać na łopatę, żeby piekarz nie biegał po formy, bo przy piecu naprzeciw był dołek, tak że trudno było z niego wyłazić. Już jestem piekarzem, chleb dobry mi wychodzi.

Ale u nich kryzys. Nie mają czym płacić dla wojska. Przyjeżdża z rejonu *nacjalnik* zaciągnąć pożyczkę u robotników. Robotnikowi dają kwit, na ten kwit dostaje chleb. A pieniądze idą dla wojska. Przychodzi do mnie, żebym dał trzysta rubli, ja nie mam tyle pieniędzy, nie mogę dać, daję sto. *Za mało to. - Więcej nie dam*. To nie dano mi chleba. Ani mnie, ani rodzinie. Tak trwało trzy dni. Co robić? Ja przeżyję jakoś w piekarni, ale rodzina głodna. Idę do tego *nacjalnika*, żeby mi rozłożył na raty. Zgodził się. Podpisałem listę. Wieczór, gdy każdy wrócił z roboty, robi zebranie. Ale tylko swoich, sowieckich ludzi. I mówi: *smatrycie, Polak podpisał zajom (pożyczkę) trzysta rubli. A wy co dali? Po sto, po dwieście, dawajcie po pięćset rubli!* I musieli dać. Ale jak podpisywałem listę, to mnie upewnił, że jak mi będzie bardzo źle, to on mi pomoże.

Niezadługo jest mobilizacja. Powołują kierownika tego Lesopromchozu, nazywał się Kołosow. Na jego miejsce przychodzi drugi, nazywa się Gromow. Obejmując gospodarstwo

musi zajrzeć w każdą dziurę. Przychodzi do piekarni, patrzy, że ja, taki mężczyzna, pracuję w piekarni. I powiada: *taki zdarowy muzyk pracuje tu. Tu może pracować kobieta. A ty pajdiosz w les.* Zostawił te dziewczynę, co ze mną pracowała, dał jej drugą do pomocy. A mnie wygonił do lasu. W lesie ciężko, zimno, głodno. Co robić? Trzeba iść szukać tego *nacialnika*, który mi obiecał pomoc.

Czekam, kiedy będzie dzień wolny od pracy. Doczekałem tego dnia, wstałem rano, zjadłem odrobinę chleba, popiłem *kipiatokom* (wrzątkiem), bo herbaty to tam nikt nie widział. Zebrałem się, idę do rejonu szukać *nacialnika*. A do rejonu czterdzieści kilometrów. Zaszedłem na wieczór, pytam u ludzi, gdzie taki pracuje, Andrej Siergiejewicz. Mówią, że w Rajkomie. - A gdzie ten Rajkom? - Na takiej ulicy. - Znalazłem. Jest tablica: *Rajonny Ispolnitelny Komitet*. Wchodzę do budynku, korytarz, po obu stronach urzędy, na drzwiach tabliczki, kto tu pracuje. Czytam jedną, drugą, na trzeciej jest. Pukam. Odpowiedź: *da, da*. Znaczący, że można wchodzić. Wchodzę. - *Zdrastwujcie nacialnik*. Zdejmuję z głowy czapkę. - *Nadień szapku na gotowu. To u waszych panow nado snimati szapku, u nas nie nada*. Pyta, *w kakom diele ja pryszotł*. Opowiadam, co się ze mną stało. Że wypędził mnie do lasu ten drugi *nacialnik*, że zarobki małe, nie starcza na chleb. Wysłuchał. Jest telefon. Dzwoni do piekarni w mieście: - *Alo, piekar wam nada? Charoszy piekar*. Odpowiedź: *nada, bo jednego wzięto do wojska, a piekarnia pracuje na trzy zmiany*. Mówi: *będziesz miał robotę w gorodzie* (w mieście). - *To spasibo wam, nacialnik. Ale proszę mi dać zapiskę, bo nie będę w pracy dzień, a tamten nacialnik będzie mnie sądzić*. Pisze: *Niemiedlenno zwolnić, rozliczyć takiego*, wymienił nazwisko, *dać podwodę i przewieźć w gorod*. - *A gdzie nocować?* - Pisze *zapisku do piekarni: pierienoczewać takowo i dać coś pojeść*.

Poszedłem do piekarni, pokazałem *zapisku*, przyjęto mnie, dano kawał chleba, do chleba kwas chlebowy. Pojadłem. A spanie na piecu. Gorąco jak w piekle. Przespałem noc, na rano dostałem kawał chleba i kubek kwasu chlebowego. To był rarytas. W lesie tego nie było. I w powrotną drogę jadę cały dzień. Czterdzieści kilometrów nigdzie nie ma wioski. Przybrnąłem na wieczór. Jak mnie zobaczył *nacialnik* zaczął na mnie wyzywać: *ty taki siaki, ty włóczyz się, nie pracujesz, ja ciebie w sud pieriedam*. Pokazuje *zapisku*. Czyta i mówi: *jop twoju mać, jak ty ga znalazł?! Rad nie rad, musiał dać furmankę i pojechałem*. Zabrałem żonę i dzieci. Jedziemy znów cały dzień. Na wieczór dojechaliśmy do miasta. Furman pyta, gdzie ma zająć. Mówię, że do hotelu. - *Ja nie ponimaju hotel. U nas takowo niet*. Mówię: *takaja gościnica, gdzie można perienocować*. Mówi, że *takowo u nich niet - Ta gdzie nacować, na ulicy?* - *Niet, u nas jest Kotchozny Dom tam można nocować*. - *Podjeżdżaj!* Przyjechaliśmy pod dom. Na górze się świeci, na dole ciemno. Stukam w drzwi, nikt nie otwiera. Mówi, że nie otworzą, bo późna pora. Taka sprawa. Pytam gdzie u nich komisariat policji. Mówi: *na takiej ulicy będzie dom kirpiczny* (murowany). Idę szukać. Znalazłem. Jest tablica: "Narodny Komisariat Milicji". Wchodzę, jest dyżurny. Zobaczył i pyta: *po kakomu dziełu przychodzę?* Odpowiadam, że przyjechałem z rodziną z lasu, bo mam tu pracować, a nie ma gdzie przenocować. Mówi: *w Kotchoznom Domie*. Mówię: *Nie puskajut*. Odziewa się, bierze automat i kolbą wali we drzwi. Biegnie ktoś z góry. Otwiera, patrzy. A tu milicjant krzyczy: *dlaczego nie otwierasz?* Ten tłumaczy, że nie słyszał. - *Siczas dać kwartiru*.

U nas ludzie nie nocują na ulicy. - Prędko pomogli znieść rzeczy, dali pokoik, popilim kiatku i spać. A furman pojechał z powrotem. Tak przeszła noc.

Na jutro poszedłem do pracy. Odrobiłem zmianę. Chleb się udał *choroszy*. Po pracy pytam, czy w mieście można znaleźć kwaterę. Powiadają, że trudno. Radzą, żeby iść na wioskę w pobliżu miasta. Poszedłem trzy kilometry. Jest wioska, kilkanaście domów. Pytam o kwaterę. Nikt nie przyjmuje, każdy się boi Polaka. Wchodzę do ostatniego domu. Jest gospodarz, starszy gość. Pytam: *choziain, ja iszczu kwartiru, bo budu rabotać w piekarni w gorodie*. Pyta: *skolko czetawiek (osób) siemia?* Mówię, że pięć. - *Da, i u mienia piać. Budiem żyć. A kto będzie płacić za kwaterę?* - *Piekarnia.* - Poszedł uzgodnić cenę. Dali mi sześćdziesiąt deko chleba dziennie. Chłop zadowolony. Przeniosłem się do wsi i żyjemy. On biedny, ja biedny. U niego nic nie ma i u mnie nic nie ma. Wokół wioski są łąki, latem rośnie szczaw. A koło domu - pokrzywa. Kobiety i dzieci zbierają to i gotują. Takie było moje wyżywienie i jego.

Ten gospodarz miał całego majątku dwie kury i dwadzieścia ary ziemi przy domu. Nadchodzi wiosna, trzeba tę ziemię obsiać. Zdobył gdzieś trochę jęczmienia. Stała beczka w sieniach i wysypał do tej beczki, bo jeszcze wcześniej do siewu. Beczka była głęboka, a kury chodziły po sieni. Jedna podfrunęła na beczkę, zobaczyła na dnie ziarka i wskoczyła do beczki. Najadła się jęczmienia i nie mogła się wydostać. I kura zginęła. Jeden dzień nie ma, drugi nie ma. Polaki zjedli kurę. Ale nam nic nie mówią, tylko sąsiadom opowiadają. Ale, jak to bywa, plotka się nie utrzyma. Dowiedzieliśmy się tego i mówimy: *Chozaiin, wy goworytie, że my waszą kurycu zjedli. To jest nieprawda. Surowej nikt jeść nie będzie, a gotować, to byście widzieli: w jednym piecu gotujemy. Szukajcie, może gdzie wlaźła i nie może się wydostać.* I niechybnie by w beczce zdechła, ale na czwarty dzień zajrzał gospodarz do beczki. Kura siedzi. Wydostał, ale głowa już sina. Mówi do swej żony: *Uljana, atrubaju toporom gotowu, budiet rosół.* A Uljana płacze, bo jedna kureczka pozostanie. Moja żona słucha tego narzekania i mówi: *chaziain, ja zrobię kurze operację. Jak wyżyje, to dobrze, a jak by chciała zdychać, to wtedy odrąbiecie głowę.* Gospodarz pomyślał. Mówi: *dzielać operacyju.* Żona wzięła kurę i rozcięła skórę tu, gdzie znajduje się wole, dostała ten worek, rozcięła trochę, wysypał się jęczmień, zaszyła ten worek, włożyła do środka, zaszyła skórę i powiedziała: *teraz nie dawajcie kurze gęstego jedzenia, tylko picie, posadźcie kurę pod piec, niech przebywa w ciepłe.* I kura wyżyła. Jaka była radość z tego! Wtedy przekonali się wszyscy, że my jesteśmy dobrymi i pożytecznymi ludźmi. Już zaczęli każdy zapraszać do siebie.

Była kobieta, zwała się Safonowa, miała dwie córki, duży dom na dwa końce. W jednym mieszkała sama z córkami, drugi koniec oddała nam na mieszkanie bezpłatnie. Przenieśliśmy się do niej. Już nie byliśmy skrupowani, byliśmy sami. Jedna córka tej kobiety była *brygadżirką* kołchozu. Było lato, żniwa. Kawał ziemi zasiano jęczmieniem. Skosili i złożyli w stertę na polu. Potem zdobyli gdzieś maszynę i młócili na polu. *Brygadżirka* musiała być przy tej młócce, żeby ludzie nie rozkradli tego ziarna. Ale sama to schowała jeden worek w plewy. Jak wróciłem z pracy, a było to nocą, to mi powiedziała o tym i kazała, żeby przynieść ten worek. Musiałem iść. Obróciłem dwa razy, bo za jeden raz nie mogłem przy-

taszczyć. Ale się opłaciło, bo połowę dla nas dała. Ja dalej chodziłem do pracy, kiedy po- padła zmiana. Żona chodziła trochę do pracy w kolchozie.

Był ogród kolchozowy. Siali warzywa, kapustę jakąś, rzepę, wszystko wczesne, bo jak późniejsze, to nie zdążyło wyrosnąć, bo tam krótkie lato. Ziemiaki też wczesne sadzili i to sporo, bo trzeba oddać plan *gosudarstwu*. A i ludziom trzeba dać. Przyszła pora na wykopki. Żona z dziećmi poszła do tych wykopków, żeby zarobić trochę tych ziemniaków, bo płacili od metra cztery kilo. *Brygadzirka* znów przy ludziach. Miałem syna jedenastoletniego, też był przy tych wykopkach. Mówi do tej *brygadzirki*: *Tamara* (tak się zwała), *daj mi konia spokojnego i plug, to ja będę wyorywał, tak jak mój tata robił w domu*. Ziemiaki były posadzone w rzędy. *Brygadzirka* dała takiego konia i wyorywał jeden rząd w jedną stronę, drugi w drugą i szybko szła robota. Przyszedł na pole predsedatel (przewodniczący), zobaczył i pochwalił tę robotę. Po wykopkach oprócz tej zapłaty dał dwa worki ziemniaków. Już było co jeść. Bo w lesie nikt nie widział ziemniaka. Przez te dwa lata w lesie to by ten ziemniak był za przysmak świąteczny. Tak mi się udało wyrwać z tego lasu.

Jak przyszedłem do tej piekarni, to pracowali sami Rosjanie. Po skończonej zmianie to każdy miał gdzieś schowany kawałek chleba. Jadąc do domu brał, niósł dla rodziny, bo tego pajka, co dostał, to było za mało i było trochę przygłодно. Ale nikt nie narzekał. Więc i mnie tak uczyli, więc tak robiłem, ale żeby nikt nie widział. A z mąki trzeba się rozliczyć. A nie zawsze się udawało. Trzeba było kombinować. Jak było mało parę kilogramów, to kierownik mówił, żeś zjadł, alboś ukradł; jak było więcej jak norma, to ci nie przypisał, mówił, że oszukujesz *gosudarstwo*. I tak źle, i tak nie dobrze. Więc się kombinowało. Jak za dużo, to trzeba rozdać dla robotników, którzy piłowali i rąbali, albo dla wozaków, którzy przywozili drzewo, mąkę. Każdy był głodny. Jak było za mało do normy, trzeba oszukać kierownika, bo chleb zdawało się na wagę, mąkę brało się z wagi, trzeba się rozliczyć. Ja jako Polak jeden byłem wśród Rosjan. Ale u nas grało, bo wszyscy byliśmy zgrani. Dla mnie dawano dwie kobiety do pomocy: wodę przynieść ze studni, drzewa do pieca, bo drzewem się paliło, chleb odnieść do magazynu. A tam stała waga. Zawsze trzeba ważyć. Więc czasem wzywano te kobiety na milicję i pytano, czy Polak nie kradnie. I te kobiety narzekały na mnie. Mówiły: *czto by czart pobrał takawo Polaka, nawet nie da zjeść kawałek chleba*. To znaczy, że dobry. Może *rabotać*. Ale różnie bywało. Czasami zostawało się we worku trochę mąki, to pytają, czy można wziąć? - *Biery* - Bo obliczyłem, że mam normę. Mieli ze sobą torby z cienkiej materii, wąskie a długie. Nabierze pół torby, na końcu zawiąże, rozpląszczy po całej torbie i jedna drugiej przywiąże na plecach między łopatkami, ubierze się i pyta: *Aleksandr, nie zamietno?* Popatrzę, że nic nie zauważyłem, idzie przez kontrolkę, tam siedzi kontrol; mówi: *do swidanija, Iwan Iwanowicz*. A ja pozostaję. Kierownik rozlicza mnie z mąki i z chleba, ile kilogramów zrobiłem. Bo zapłata była od kilograma pięć kopiejek, dwie kopiejki dla mnie, a trzy kopiejki dla tych kobiet.

Chleb się wypiekało ekonomicznie, to jest w formach blaszanych. A żeby odstawało ciasto od formy, dawali olej do smarowania form. Na tonę chleba jedno kilo oleju. Jak dwie zmiany posmarują te formy, trzecia może nie smarować. To kobiety robią jakieś placki z olejem. Jest co zjeść. Ale trzeba by dać temu kierownikowi też do zjedzenia. A kierownik był zajadły komunista, nie chciał tego jeść i nam nie pozwalał jeść. Zdobył gdzieś bańkę od

mleka dwudziestolitrową i dostał trochę wapna nie gaszonego. Wsywał do bańki, zalał wodą, zlasowało się, wapno osiadło na dnie. A woda zrobiła się jak serwatka. Brał dwie kwatery tej wody i kwaterek oleju i trzepał łyżką. Zrobiła się śmietana. Tym kazał smarować formy. Ale u chleba były skórki gorzkie. Co z tym fantem robić? Zrobiliśmy swoje zebranie. Umówiliśmy się, żeby się go pozbyć. Ale w jaki sposób? Trzeba tak zrobić, żeby u nas grało, a u niego żeby były braki. I po dwóch miesiącach kierownik pojechał. Przyszła komisja, przeglądnęła magazyn i jego zapiski. Były braki. Taki nie nadaje [się] do pracy w magazynie. Dali drugiego. Przyszędł inwalida wojenny. Przywitał się z nami i mówi: *grazdanie, mnie tu przysłano na kierownika. Ale ja niczego nie ponimaju po etomu diełu. Wy tak róbcie, żeby wam było dobrze i mnie*. I tak się robiło.

Potem jeszcze raz zmieniłem kwatery. Tym razem zaprosiła nas starsza kobieta, nazywała się babuszka Rożyna, na imię miała Natalia. Całkiem polskie imię. Miała troje dzieci dorosłych, dwóch synów i córkę. Synowie służyli w Wojennej Marynarce, córka w szpitalu jako lekarz (wracz). Staruszka była poważana. Mogła sobie trzymać krowę, miała też kozę. Przeszliśmy do niej na kwatery. Dawała codzień liter mleka dla dzieci. Czasem dała dla nas, starszych, jakiś liter. Ja nie byłem jej dłużny. Kupiłem kosę, wyszykowałem i kosiłem trawę, gdzie się dało, po rowach, po drogach. Trawa była dobra, narobiłem dla tego inwentarza siana na całą zimę. Na chałupie przeciekał dach, kazałem, żeby postarała się materiału. Zdobyla gdzieś desek, bo tam dachy zamiast gontu kryte są deskami. Przykryłem dach. Jaka była rada z tej roboty! Czasem przyjdę z pracy bardzo zmęczony, bo trzeba było zrobić tonę dwieście kilo chleba, wszystko ręcznie. To nawet było męczące. To babuszka widzi, że ledwo łązę. Pyta: *Aleksandr, ty bolnoj? Mówię, że nie balnoj, tylko zmęczony*. Mówi: *ja napalę baniu, to się wymyjesz, wyparzysz i wsio projdiot*. Napali, wody nagrzej, wykąpię się, wygrzeję w parze, bo tam prawie każdy ma taką malutką łaźnię. I tak żyjemy. Babuszka ma nas jak swoje dzieci. Tak się żyło pomiędzy tymi ludźmi przez całe trzy lata.

W 45 roku już nas zwolniono. Mieliśmy wracać do Kraju. Jak to babci powiedziałem, to zbierała mleko, robiła bryndzę. Nam na drogę zrobiła całe wiadro. Jak nadszedł dzień odjazdu, kołchoz dał nam furmankę odwieźć nas do przystani trzy kilometry. To babuszka nas żegnała ze łzami w oczach i odprowadzała. Prosiła: *Rebiatka, ostańties u nas, budiem żyć dalej, jak żylim dotychczas*. Ale kto by się tam został, jak zima trwa osiem miesięcy, a mrozy dochodzą do 55 stopni!

Załadowano nas na statek i po rzece jedziemy do Archangielska, do punktu zbornego. A tam już było sporo Polaków z różnych obozów. Dano nam trochę odzieży, bo każdy był obdarty. Wydano prowiant. Załadowano do wagonów. Jedziemy przez te miejscowości, gdzie były największe boje: Kursk, Połtawa, Charków. Kierunek - Ukraina. Dojechaliśmy do Kirowogrodu. Ale jeszcze nie ma miejsca w Polsce dla nas. Te miejscowości, gdzie mieszkaliśmy, to Czerczil i Trumen przydzielili Stalinowi. Trzeba jeszcze poczekać. Skierowano nas do sowchozu Aleksiejewka, Wielikowyszczkański rejon, stacja Mała Wyska. Przyjechały samochody i zabrały nas. Porozwoziły po sowchozach Marianowka, Uljanowka, Pawłowka. Ja popadłem do Aleksiejewki. Razem z nami jeszcze osiem rodzin. Rozmieszczono nas w barakach. Było lato, ciepło. Dano chleba więcej jak w lesie. Była stołówka. Można było pojeść do syta.

Nadeszły żniwa. Trzeba zbierać z pola. A tu w całym sowchozie jeden koń, jedna krowa. A pszenicy to taki poletek zasiany, że kombajn raz objedzie wkoło za dzień. Więc kto żyw do żniw. Zbieramy, kosimy, wiążemy w snopy, składamy do samej jesieni. Ja z kolegą składamy tę pszenicę w duże kopy, bo do sterty nie ma czym wozić. Donoszą nam snopy na nosiłkach. Pszenicę skończyli, nadeszła jesień. Trzeba kopać ziemniaki. Dano na każdą rodzinę po dwadzieścia ary ziemniaków. Trzeba rwać czyli kopać. Buraków cukrowych znowu poletek ze sto ha. Dostali traktor. Traktor wyorywuje, kobiety ogławiają za cztery kilo od tony. Trzeba zwozić do kopców i kopcować. Starczyło tej roboty do zimy. Słonecznik i kukurydza została stać na polu, nie zdążyli zebrać. Taka sowiecka gospodarka.

Jak wojsko sowieckie i polskie poszły dalej na Zachód, zajęły Czechy, Rumunię, zaraz wysłano dziesięciu ludzi swoich rozkułaczać Rumunów. Po miesiącu przypędzili 50 krów, 20 par wołów, 20 par koni. Tak się dorabiali towarzysze. Nadeszła zima. Trzeba młócić pszenicę. Zdobyli kombajn. Przy kombajnie był kombajnista. Nazywał się Jaszko Raduga. A mój syn woził ziarno do magazynu, tak luzem we skrzyni. Przy młócce byli ludzie ze wsi, więc każdy miał worek ze sobą. Jak wieczór kończyła się robota, to każdy nabierał pszenicy, niósł do domu. Bali się, żeby syn nie wypowiedział się. Kombajnista kombajn zostawiał na polu, a ze synem przyjeżdżał do domu. Mówi do syna: *Skaży bačku, niech w nocy przyjedzie i zabierze*. Chodziłem, przyniosłem. Nie dużo tego było, może ze dwadzieścia kilo. Na drugi dzień kombajnista mówi: *Hymno taka torbina, skaży bačku cztoeby dał miech*. Dałem worek, nasypał pełen, zawiązał i znów rzucił w burzany. Teraz musiałem dwa razy obrócić po tę pszenicę. Ale trzeba Jaszskowi coś dać. W sowchozie kobiety miejscowe gotowały z buraków *bimber*. Dostałem *litr bimbru* i wypiliśmy razem. Ja piłem kieliszkiem, a Jaszko szklanką. Jaszko się upił i nie poszedł do roboty. Jaszka aresztowano, posadzono do aresztu. Jaszko odpoczywa, a robota stoi. Plan *gosudarstwu* trzeba oddawać, a tu nie ma ziarna. Pojechał *uprawlajuszczy* do aresztu, prosił o zwolnienie Jaszki. Zwolnili i dalej poszła robota.

Dalej ja teraz pracowałem przy budowie obory, bo nie było gdzie postawić *skota* [bydła]. Była kiedyś obora, ale Niemcy dach rozebrali na okopy, pozostały ściany gliniane. Trzeba robić dach. Zgodziłem się z kierownikiem, że zrobię. Ale będzie kosztować pięć tysięcy rubli. Kierownik mówi: *rabotaj!* Myślałem, że materiał będzie z tartaku obrzynany. Ale takiego nie było. Było kawałek lasu liściastego, twardego do obróbki. Wziąłem do siebie kolegę, poszliśmy do lasu przygotować materiał. Las gęsty, wszystko rośnie prosto, jesion, dąb, buk, brzoza. Taka była ta drzewina. Naścinaliśmy, jakiego nam trzeba. Zwieźli nam pod tę oborę. Trzeba to obciosać, żeby było zdatne na krokwie, na płatwy, na stojki. Za miesiąc zrobiliśmy wiązanie. - Czym się będzie kryć? - Słomą. Nawieźliśmy słomy spod kombajnu. Jak kryć taką słomą? Trzeba dekować. Słoma drobna, pobita, przewala się pomiędzy łąty. Trzeba jakąś podkładkę robić. Pytam, czy gdzie nie rośnie trzcina, po ichniemu *ajer*. Jest. Posłali kobiety, żeby nażeły. Kobiety nażeły. Cały wóz przywieźli. Trzcina wysoka, jak rozpostrę warstwę z dołu, to sięga do plet dachu. Dobra. Słomę zmoczyłem, żeby była miękka. Kolega robił wygrabki i wkładał takie dwa kije związane ze sobą i podawał widłami na dach. Tak nakryliśmy połowę dachu. Ale wyżej nie dostanie. Trzeba coś wydumać. Zrobiłem takiego żurawia. Okazało się pomysłowe. Wszyscy przychodzili patrzeć i podziwiać moją technikę. Za kilka dni żeśmy pokryli.

Teraz trzeba robić drzwi. Desek nie ma. Znow uciekłem się do trzciny. Wyciosałem drzwiane ramy z jednej, na poprzek przybiliśmy takie szczęble, na to nałożyliśmy trzciny dość grubawo, z drugiej strony znow przybiliśmy szczęble, poobcinali i drzwi gotowe. Zawiasy porobili kowale. Nawet i gwoździe robili. Kowale zbierali po okopach drut, cięli i zaostrozali końce. Takie były gwoździe.

Gdy już było gotowe, przyjechał dyrektor i przywiózł proraba czyli inżyniera odebrać robotę. Inżynier obejrzał dookoła, powiedział: *choroszo, lepiej być nie może*. Teraz dyrektor kazał dać premię. Ale nie było co dać. Kierownik dał nam po wiadrze melasy, bo taką mieli do straszenia szkodników od buraków wysadków, gdy kwitną. Melasa słodka, trochę gorzkawa. Nie nadawała się do jedzenia. Doradzono nam, żeby pójść do wioski i wymienić na bimber. Wymieniliśmy, dostaliśmy osiem litr bimbru. Kiedy my to wypijemy? Trzeba zrobić bal. Była niedziela, święto 1 maja. To święto świątkuje cały Związek Sowiecki. Sprosiłiśmy swoich ludzi, było sześć rodzin, i poprosiliśmy miejscowych Ukraińców. Był brygadzysta stary, było kowali dwóch, był polowy i kierownik. Poprznosili na zagryzkę ogórki kwaszone, kapustę też kwaszoną, jakieś placki. I biba na sto dwa. Jak to bractwo sobie popiło, to mówili: *ach, wy Polaki, charoszyje ludiny*. Potem zaczęli opowiadać, jak to dawniej bywało.

Były trzy majątki: Marianowka, Aleksiejewka i Pawłowka. Należały kiedyś do jednego pana. Pan był polski, nazywał się Marchocki, miał trzech synów: Mariana, Aleksego i Pawła. Tak powstała nazwa tych sowchozów. Te dwa - Aleksiejewka i Pawłowka (przyłączono) do Marianowki: tu mieściła się dyrekcja z dyrektorem Iwanem Szółkoplasmem. A brygadzysta nazywał się Barabanow. Kiedyś u pana był polowym. Chodził z ludźmi na pola jako karbowy. A Szółkoplasmow był u pana furmanem. I tak się obaj dosłużyli - jeden dyrektorem, drugi brygadzystą. Reszta służby byli różni. Oborowy Jakowicz pochodził z Litwy, a pierwszą wojnę światową służył w wojsku; po skończonej służbie wracał do domu i zahaczył o Ukrainę, spodobał Ukrainkę i się ożenił. Czasami przychodził do mnie na pogawędki.

I tak nam rok zleciał na tej Ukrainie. Jak zostały wyzwolone Ziemie Zachodnie, ruszyliśmy dalej. Jechaliśmy przez Jarosław, Przemyśl, Katowice, Wrocław. Wszędzie zgłiszcza i gruzy. Nie wesoło było patrzeć. Z Wrocławia dalej przez Głogów do Wąsosza. Głogowa prawie nie było. Całkiem rozbity. Miasteczko Wąsosz niby całe, tylko trochę domów spalonych. Przyjechały po nas furmanki ze wsi Bobile. Tak się pisała poprzednio ta wieś. Częściowo była zasiedlona: trochę Poznaniaków, trochę Zabuzan i trochę Tarnopolan. Ale były jeszcze puste gospodarstwa, tylko oszabrowane, albo budynki marne. Ci, co po nas przyjechali, to byli Poznaniacy. Im było najbliżej, najlepsze gospodarstwa pozajmowali, nawet z inwentarzem. Załadowano nas na wozy. Była wiosna, ciepło i tak jedziemy do wsi. Ci furmani idą koło wozów i tak rozmawiają: biedne te ludziska, chude, marnie wyglądają, ale parobki dobre będą. Takie to pocieszenie usłyszeliśmy po sześciu latach wygnania, niedoli i przepałości naszej pracy!

Zgorzelec, 1990.